



N

W

E

S

Stanisław Truchan "Spirala Kaina"

Fahrenheit Crew

Zażyłem drugą tabletkę Apapu i znów wyjrzałem przez okno. Ekipa z Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej zdążyła już obciąć konary drzewa i teraz mozolnie spychała gruby pień na trawnik pomiędzy jezdnią a koślawo ułożonym chodnikiem. Nawiasem mówiąc, swoją koślawość chodnik zawdzięczał fachowcom z tejże firmy, którzy - sam widziałem - w trakcie układania płytek fundowali sobie dość długie przerwy w pracy, a wtedy z rąk do rąk i od ust do ust krążyła duża, szarobrązowa rękawica robocza. Z palców nic nie kapało, więc można było się domyślić, że tkaninę od zawartości tego nietypowego naczynia oddziela jeszcze warstewka szkła.

No, będą o tym świerku gadać przez najbliższe pięć lat - pomyślałem, masując lewą skroń i obserwując licznie zgromadzonych gapiów. Faktycznie - na to się zanosilo. I jeszcze na to, że kiedy pilarze skończą robotę, ulica wciąż jeszcze będzie nieprzejezdna co najmniej przez najbliższe dwie godziny. Gęstniejąca z każdą chwilą czereda gapiów była przeszkodą trudniejszą do sforsowania niż drzewo o gabarytach kolumny frontonu La Madeleine (gdyby oczywiście kolumnom słynnego paryskiego kościoła mogły wyrosnąć gałęzie). Tak na oko zbiegło się chyba z pół miasta; małego wprawdzie, dziesięcioletniego zaledwie, ale jednak.

A gadać będzie o czym. Świerk znalazł się na naszej ulicy nie wiadomo jak i skąd - zupełnie jakby spadł z nieba. „Idę se, idę” - opowiadała Kopińska ze środkowej klatki mojego bloku - „a tu nagle jakby mnie co pchło, tak żem się znalazła od razu z dziesięć metrów dalej. Oglądam się, patrzę, a tu leży to drzewo za mną! Pieprzło o asfalt, aże śpilki na wszystkie strony poleciały!” Podobnie było z Jaśkiem Węglarzem, z tą tylko różnicą, że jego „pchło” nie w przód, a w tył. No i Węglarz - jak zwykle o tej porze - był trochę zawiany.

Ja wtedy siedziałem w kuchni, więc nie widziałem, jak drzewo „pieprzło” o asfalt. Usłyszałem tylko charakterystyczny trzask łamiących się gałęzi. Podeszedłem do okna, zobaczyłem, że asfalt jakoś dziwnie nam się zazielenił, i mimo dręczącego mnie od godziny bólu głowy zbiegłem z mojego trzeciego piętra na dół. Wyszedłem na ulicę, obejrzałem świerczyśko w całej okazałości i wróciłem w domowe pielesze, bo przecież żaden ze mnie Wyrwidąb ani nawet Przenosiświerk, więc płynności ruchu samochodowego na Beskidzkiej nie przywrócę, wątle muskuły natężając... A gdybym nawet potrafił... przecież płacą za to komu innemu.

Faceci w seledynowych kamizelkach przyjechali dość szybko. Nawet mi się nie chciało patrzeć, jak sobie radzą z niespodziewanym kłopotem, bo porośnięte czarnym włosem siedlisko mojej nieprzeciętnej inteligencji zaczęło mi sprawiać coraz dotkliwszy ból. Najpierw łupnęło w prawej skroni, potem dla równowagi w lewej, a później już bolało w obu naraz. Zażyłem Apap - w porę sobie przypomniałem o skromnym zapasie, jaki mi pozostał po niedawnych perypetiach z dziurą po zębie - ale niewiele to pomogło. No to połknąłem kolejną tabletkę i zaciskając zęby podeszedłem do okna.

W ułamku sekundy zdążyłem zobaczyć, jak potężny pień, oczyszczony z gałęzi, w całości ląduje na trawniku, łamiąc przy tym krzaki karagany wyrastające w miejscu, w którym kiedyś ci sami robotnicy wycięli spróchniałe drzewo. A potem poczułem ból w okolicach łuków brwiowych, i to ból tak silny, że odszedłem od okna, padłem na wersalkę, zamknąłem oczy i wtuliłem twarz w łątę naszytą parę miesięcy temu przez tapicera. Jakby to mogło uśmierzyć ból głowy...

O dziwo - przeszło. Tylko ta łąta nagle stała się jakaś wilgotna. I pachniała próchnicą.

Wstałem, otworzyłem oczy.

Pomyślałem, że chyba mam halucynacje. Bo przecież mieszkania na trzecim piętrze w czteropiętrowych blokach, nawet przy Beskidzkiej, gdzie możliwe jest wszystko poza porządkiem na klatce schodowej, nie zamieniają się ni w pięć, ni w dziewięć w zielone łąki.

Łączka przypominała mi pastwisko Matusiaka w Bednarce, mojej rodzinnej wsi. Łagodnie pochylony stok, w dole strumyk, nad nim stare olchy... Był nawet rząd starych, wypróchniałych wierzb, ciągnący się mniej więcej prostopadle do strumyka. Nawet urwisko porośnięte kępami ostrężyny. Wypisz wymaluj jak u Matusiaków.

A głowa przestała boleć.

Skąd ja się tutaj wziąłem?

Zanim zdążyłem sobie - bo komu innemu, skoro nikogo w pobliżu nie było? - zadać to zasadnicze pytanie, moją uwagę przykuł jakiś ruch w bliskim sąsiedztwie starych wierzb, dostrzeżony nagle kątem oka. Spojrzałem w tamtym kierunku: kot, biały kot. Podobny do Filemona z dobranocki. Stał na tylnych łapach i zaczął sobie ostrzyć pazurki o pień.

W chwilę później „Filemon” sprawił, że o mało znów nie przewróciłem się z wrażenia. Kocisko odwróciło się tyłem do starej wierzbki i z ogonem wycelowanym w słońce zaczęło skubać trawę. Zupełnie jak krowa. Albo raczej jak owca, bo przecież było białe.

Zaraz potem poczułem ssanie w dołku. Przecież wszystko zaczęło się od bólu głowy. Tak wyglądają objawy niektórych chorób. Często śmiertelnych.

Jednak nie miałem czasu się zastanawiać, czy i kiedy umrę, bo objawy choroby, nasilając się, zaczynały wyglądać coraz bardziej intrygująco. Na skraju łąki wylądował świerk... Tak, tak, dobrze powiedziałem: wylądował. Najpierw, kołysząc wierzchołkiem jak karawela masztem, leciał powoli w powietrzu, co pozwalało zauważyć zupełny brak korzeni, a potem osiadł na trawie w pozycji pionowej, podpierając się dolnymi gałęziami. Stał tak może z minutę, a potem pomiędzy obłą końcówką pnia a ziemią coś się poruszyło. Wyglądało to tak, jakby wiszącej w powietrzu choince - takiej dużej, jakie się ustawia na miejskich placach przed Bożym Narodzeniem - zaczął nagle wyrastać ogon. Po upływie kolejnych dziesięciu minut ten cienki dzyndzelek podobny do świńskiego ogonka dotknął ziemi. Równocześnie gałązki świerka zaszeleściły, jakby poruszone lekkim podmuchem wiatru.

Tylko że żadnego wiatru nie było.

Minął tak chyba kwadrans. „Filemon” wciąż w najlepsze pał się na trawie, a świerk szeleścił igłami. Z miejsca, w którym koniuszek „ogonka” zagłębił się w ziemię, dobiegały odgłosy przypominające siorbanie i mlaskanie. Wreszcie wszystko ucichło, gałązki znieruchomiały, a chwilę później przypomniała mi się piosenka ze starej, trzesczącej płyty zespołu Homo homini, *Drzewa ruszają w drogę*. Świerk oderwał się od ziemi i poszybował w siną dal ponad koronami wiekowych czarnych olch.

Dowiercił się do źródła, napił się wody i odleciał - pomyślałem. Śledziłem wzrokiem jego lot, dopóki nie zniknął na horyzoncie, czyli za wierzchołkami drzew rosnących na wzgórzu po drugiej stronie strumienia. Zaintrygowany dziwnym zjawiskiem poszedłem w tamtym kierunku. Po dwóch minutach marszu stanąłem u stóp potężnej czarnej olchy rosnącej nad strumieniem. Przewyciężając obawę, dotknąłem pnia; drzewo wyglądało jak bliźniaczka olchy, pod którą Matusiak trzydzieści lat temu po raz pierwszy pocałował swoją późniejszą żonę, Jaśkę Wydartuchównę. Nic nie wskazywało na to, by samodzielnie mogło się wykopać z ziemi, nie mówiąc już o odlocie. Inne drzewa też sprawiały wrażenie solidnie zakotwiczonych w tutejszej szarobrunatnej glinie.

Postanowiłem na razie nie zapuszczać się w porastający sąsiednie wzgórze grabowy las, chociaż ten wyglądał bardzo znajomo. To jednak nie była moja rodzinna wieś. Tam koty – choć czasem przed deszczem jednemu czy drugiemu zdarzyło się skubnąć jakieś soczyste źdźbło – nie miały zwyczaju paść się na łące jak krowy. No i nie było latających świerków.

Może tu fruwać tylko drzewa iglaste? – pomyślałem. A potem nagle przypomniał mi się ten dorodny okaz, który narobił takiego zamieszania na mojej ulicy. To też był świerk. Wprawdzie nikt nie widział, jak nadlatuje, wszyscy twierdzili, że nie wiadomo skąd się wziął. Ale jednak spadł. Czyli... też przyleciał. Dziwne. Nawet Akademia Nauk niegdysiejszego Związku Radzieckiego, bohaterka dowcipu o odległości między głową a ogonem ryby, na pewno nie znała takich przypadków.

Postanowiłem wrócić na łąkę – i w połowie drogi między potokiem a rosochatą wierzbą zobaczyłem jeden z najbardziej sielskich widoków, jakie zapamiętałem z dzieciństwa: po łące długimi, płynnymi susami biegła sarna. Od wczesnego dzieciństwa wprost uwielbiałem sarny. Moi rodzice jakoś nie podzielali tego zachwytu. Wiadomo, taki roślinożerca ścieżkę w pszenicy wydepcze, koszenie utrudniająca, innym razem młode pędy kukurydzy ogryzie, albo skubnie groszku czy fasoli. Ale ja się zachwyciłem. Sarna to piękne zwierzę.

Tymczasem biały kot podniósł czujnie głowę, a potem błyskawicznie dopadł pnia wierzby i wdrapał się na drzewo. Czego ty się, kiciu, boisz? – pomyślałem. – Przecież sarenka ci krzywdy nie zrobi. Oczywiście dobrze rozumiałem tego kota, ja też bym zwał, gdzie pieprz rośnie, gdybym widział, że w moją stronę biegnie stworzenie wielkości autobusu marki Berliet... bo taka była między nimi różnica gabarytów.

Sarna zachowywała się nietypowo: stanęła pod wierzbą, zadzierając głowę i patrząc na kota mniej więcej tak, jak patrzyłby jakiś Burek czy Misiek, który kotu pogonił kota i zmusił go do ucieczki na drzewo. „Filemon” spojrział na nią z góry, prychnął i ukrył się wśród liści.

I wtedy stało się coś, co sprawiło, że zupełnie zwątpiłem w zdolność moich zwojów mózgowych do prawidłowego odbierania i przetwarzania bodźców. Sarenka oddaliła się nieco, wzięła rozpęd i tryknęła łbem w konar, na którym siedział kot. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego skoku w wykonaniu sarny, ona chyba była jakimś sarnim Siergiejem Bubką... Białasek spadł na ziemię i przez co najmniej sekundę miał trudności z pozbieraniem się.

Sarna wykorzystała tę sekundę. Po jej upływie biegła już w kierunku pobliskich zarośli z kotem w pysku, a ja stałem w pozycji żony Lota i dolna szczeka ocierała mi się o mostek. Chyba z wrażenia zapomniałem oddychać.

Pierwszy raz w życiu widziałem sarnę polującą na koty. Gdybym powiedział, że byłem zaskoczony... No, owszem, byłem, ale to zdecydowanie za słabe słowo. Można być zaskoczonym, kiedy syn sąsiadki, wyjątkowy głąb, ukończy w terminie gimnazjum. A ja byłem wstrząśnięty. Sarenka?! I takie... takie coś?! Gdyby to był koń, jeleń, żubr, czy nawet łaciata mućka, którą mój ojciec sprzedał dziesięć lat temu, zmieniając opcję z krowiej na kurzą... Ale sarenka???!!!

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim ochłonąłem. A wtedy postanowiłem opuścić niebezpieczną łączkę, licząc – być może naiwnie – na to, że w miarę oddalania się od lasu zagrożenie będzie maleć. Oczywiście tego nie mogłem być pewny, kto mi zagwarantuje, że w labiryncie splecionych ścieżek pomiędzy mniejszymi i większymi kępami pszenicy i owsa, porastających pobliskie pola, nie pożre mnie wataha krwiożerczych zajęcy albo nie rozdziobie stado spragnionych świeżego mięsa kuropatw? Ale w lesie lub na jego skraju mogło być jeszcze gorzej.

Najbliższy pagórek – nie tutaj, a w prawdziwym, normalnym świecie – był miejscem, w którym

przyszedł na świat mój ojciec. Domu już od wielu lat nie było, nasza rodzina mieszkała o kilometr dalej, ale odziedziczone po dziadku dwa hektary ziemi co roku obsiewane były owsem albo żytem (gleba była zbyt marna, by na niej siać pszenicę). Na środku rosły jeszcze stare jabłonie. Z tego miejsca widać było cały nasz przysiółek zwany Kozią Wólką: jedenaście domów wzdłuż drogi i cztery inne, położone nieco na uboczu. W ósmym z tych jedenastu, pod czujnym okiem Antoniego i Wiktorii Chrobaków, przeżyłem dzieciństwo i wczesną młodość, zanim wyruszyłem w świat. Potem zostawiłem na placu boju młodszą siostrę, która jako synowa *in spe* pewnego ogrodnika miała większe predyspozycje do kontynuowania rodzinnych tradycji.

A teraz tych piętnastu zagród nie było. I ani śladu drogi. Zboże, zamiast tworzyć barwną szachownicę zagonów, wszędzie rosło w nieregularnych kępach, pomiędzy którymi wiły się kręte ścieżki.

Postanowiłem przespacerować się aż do miejsca, w którym – teoretycznie – powinien znajdować się mój rodzinny dom. A więc najpierw jakieś dwieście metrów nieco w dół, do kilkunastu rachitycznych śliw otaczających „niewidzialny” dom Tacka Maniaka (zamiast niego w kręgu drzew złożyło się niewielkie poletko dojrzewającego właśnie jęczmienia), a potem pod górę, w stronę brzozowego lasu na horyzoncie. W prawdziwej Koziej Wólce ten las zwany był Brzeziem. Przyłożyłem dłoń do czoła, by osłonić oczy przed promieniami słonecznymi, jeszcze raz zlustrowałem cały przysiółek aż po horyzont, po wierzchołki tych dorodnych brzóz... i zatrzymałem się z prawą stopą uniesioną na wysokości kilkunastu centymetrów.

Nad koronami brzóz unosiła się siwa smużka dymu.

Posuwałem się naprzód ostrożnie, od jednej kępy zboża do drugiej, przy każdej okazji korzystając z wątlej osłony, jaką dawały jabłonie, czereśnie, śliwy i grusze rosnące wokół nieistniejących domów. Wreszcie dotarłem prawie do samego końca Koziej Wólki – porośniętego sitowiem bagienka pomiędzy dwoma bezpiecznymi sadami. W prawdziwym świecie – bo miejsce, w którym się znajdowałem, wciąż było dla mnie czymś nierzeczywistym, jakimś wytworem chorej wyobraźni – w północno-wschodnim rogu bagienka znajdowała się studnia, do której w zamierzchłych czasach chodziliśmy z blaszanymi wiadrami po wodę. Nieco wyżej mieszkała Karolina Drabik, wdowa po mikrym, chorowitym faceciku, którego pogrzeb już ledwo pamiętałem. Tu zamiast domu Drabikowej był tylko sad. Przebiegłem z jednego końca tego sadu na drugi po przekątnej, pochylony jak czerwonooarmista z pepeszą na starym wojennym filmie, i zacząłem się zastanawiać, co robić dalej. Od brzozowego lasu, w którym ktoś palił ognisko, dzieliło mnie najwyżej sto pięćdziesiąt metrów.

Po namyśle postanowiłem nie ruszać prosto przed siebie w kierunku źródła ognia – to znaczy dymu, ale przecież „nie ma dymu bez ognia” – lecz okrążyć od północy szczyt wzgórza, przez mieszkańców Koziej Wólki zwanego uroczo „Dziółkiem”. W tym celu musiałem się wycofać w okolice studni, nieistniejącej w tej wersji rzeczywistości, skierować na północny wschód i skrócić w stronę lasu w miejscu, w którym w prawdziwym świecie napotkałbym szeroką miedzę. To dałoby mi możliwość krycia się za nierównościami terenu aż do samego końca, do wyrobiska starej zwirowni.

Tego wyrobiska oczywiście tutaj nie było. Ale Brzezie kończyło się tam, gdzie powinno. Niżej, na północno-wschodnim zboczu, rozciągał się grabowo-jodłowy las, za którym mieszkała moja kuzynka. Oczywiście wciąż w prawdziwym świecie, a nie w tej fatamorganie, wywołanej chyba niedawnym bólem głowy, cokolwiek było jego przyczyną.

Ciąg dalszy przypominał zabawę w Indian. Z bardzo zaskakującym zakończeniem: nagle z malinowego chruśniaka wyłonił się dziwacznie ubrany facet z równie dziwacznym przedmiotem w dłoni – to coś wyglądało jak pomniejszona kilkakrotnie tuba starego gramofonu – i spojrzał mi prosto w oczy.

- *Who are you?* - zapytał.

To był chyba akcent z Nowej Anglii.

Właściwie ja mógłbym zadać to samo pytanie. Problem w tym, że ja na pewno byłem nietutejszy, mimo podobieństwa tego miejsca do mojej rodzinnej Koziej Wólki, a on niekoniecznie. W dodatku to coś, co trzymał w ręce, mogło być bronią. A ja miałem przy sobie tylko scyzoryk, w dodatku wyszczerbiony i zardzewiały.

Na szczęście znałem język, w którym mogliśmy się dogadać. Gdyby odezwał się po tamilsku albo po laotańsku, byłoby gorzej.

@@@

Mieszkańcy Koziej Wólki mocno wysilili swoje umysły, nadając ongiś miejscu po drugiej stronie brzeziny nazwę „Za Lasem”. W rzeczywistości to skupisko około dwudziestu domów należało do czterech różnych wsi; ich granice stykały się o jakieś trzysta metrów na zachód od kępy ostrężyn, w środku której Xerxes Locksmith założył swoją „kwaterę główną”.

Nazwisko tego mężczyzny o twarzy ozdobionej krótką kozią bródką wydało mi się znajome. Locksmith...? Hm, zawód jak każdy inny. W książkach telefonicznych takie nazwisko raczej niełatwo znaleźć, w przeciwieństwie do najzwyczajszego Smitha. Xerxes? Imię bez wątplenia perskie, ale jednak kojarzyło mi się z czymś o wiele bardziej współczesnym, tylko nie mogłem sobie przypomnieć, z czym konkretnie. Wydawało mi się nawet, że kogoś podobnego do Locksmitha zdarzyło mi się widzieć na ilustracji w jakiejś książce, którą czytałem jeszcze w podstawówce. Jednak na próżno wyęźlałem mózg, nie potrafiłem sobie przypomnieć, o jaką książkę chodzi. Wspomnienie lektury niejasno mi się kojarzyło z XIX wiekiem.

Szałas, w którym mister Locksmith rezydował, był prawdziwym arcydziełem architektury. A równocześnie kamuflażu. Z odległości dziesięciu metrów wyglądał jak kępa tarniny albo innych krzaków. Za to w środku... Gospodarz najwyraźniej lubił życie na łonie natury, ale komfortem nie gardził.

- Jak daleko stąd do najbliższego miasta albo przynajmniej wsi? - zapytałem, przełknąwszy ostatni kęs wątroby jakiegoś nieznanego mi zwierzęcia (może był to drapieżny jeleń, a może trawozerny wilk...? w każdym razie podroby miał niczego sobie).

- Niewykluczone, że około dwóch i pół miliona lat świetlnych - odpowiedział Locksmith. -W każdym razie tak jest, jeśli ma pan na myśli miasta i wsie zamieszkane przez gatunek *Homo sapiens*.

Z wrażenia upuściłem widelec. Ta odległość - dzięki jakiejś powieści science fiction - kojarzyła mi się tylko z jednym miejscem we Wszechświecie

- Mam rozumieć, że... że jesteśmy... w Mgławicy Andromedy? - wykrztusiłem.

- Znanej też jako Messier 31 - przytaknął Amerykanin ze stoickim spokojem.

Przez dłuższą chwilę milczałem, usiłując przetrwać tę niewiarygodną wiadomość. No więc znalazłem się w Galaktyce Andromedy. Na jakiejś dziwnej planecie, która jest karykaturą naszej staruszki

Ziemi. Muszę uważać, żeby mnie nie pokąsały zające, widuję sarny przegryzające gardła trawozernym kotom, łązę po bezpiecznych sadach imitujących obejścia moich byłych sąsiadów z Koziej Wólki. Więc to nie jest halucynacja?

Ale skąd ten Locksmith może o tym wiedzieć? Amerykanie do tej pory nawet do Marsa nie dotarli, a planet w M31 na razie nawet Wolszczan nie wykrył.

Amerykanin jakby odczytał tę ostatnią myśl.

- Dostałem się tutaj w taki sam sposób jak pan - wyjaśnił. - Wcześniej, na Ziemi, nawet nie miałem pojęcia o istnieniu tej kulki - szturchnął czubkiem buta podłogę z drewnianych dyli, na której stały nasze toporne pięcionogie taborety. - Na szczęście każdego przerzuca wraz z paroma najbliższymi mu przedmiotami. Ta garść uniwersalnych narzędzi, którymi dysponuję, wystarcza mi do życia, a komputer z całą zawartością pozwala dalej pracować nad teorią kosmopilar. Dzięki temu udało mi się zlokalizować to miejsce.

- Ma pan komputer? - zdziwiłem się.

Locksmith roześmiał się.

- Nie zauważył pan wejścia do piwnicy? - Jego palec wskazujący wymierzył mniej więcej pod kątem czterdziestu pięciu stopni w kąt szaleasu. - Urządziłem tam sobie całkiem przyzwoite laboratorium.

- Aha. A ja wylądowałem w tym, co mam na sobie. Tyle całego mojego dobytku.

Gospodarz pokręcił głową z wyraźną dezaprobatą.

- Niemożliwe. Po prostu nie przeszukał pan dokładnie miejsca, w którym pan wylądował.

- Aha, faktycznie. Wszystko przez tę sarnę.

- No to przespacerujemy się tam - zdecydował Locksmith. - Trzeba szukać w promieniu co najmniej trzydziestu metrów. Ale nie zaszkodzi czterdzieści czy pięćdziesiąt.

W drodze na miejsce „wizji lokalnej” mr. Locksmith był jakoś mało rozmowny. Może dlatego, że zaraz na początku zdradziłem się z kompletną i absolutną niewiedzą, jeśli chodzi o kosmopilary. Bo kapilara - owszem - kojarzyła mi się z aferą zakażonej krwi w stacji dializ w Ostrowie Wielkopolskim, ale kosmopilara? Co to ma być? Kapilara kosmiczna? Tymczasem Locksmith - podwójny doktor z Massachusetts Institute of Technology, jak się nieco wcześniej dowiedziałem - wydawał się bezgranicznie zdumiony i zbulwersowany moją ignorancją. Mruknął nawet coś o maturze zdanej „nie wcześniej niż dziesięć lat temu”, co przypuszczalnie w jego mniemaniu miało oznaczać, że o tych kosmopilarach powinienem się czegoś dowiedzieć w szkole. Ale ja o niczym takim nie słyszałem, mogłem z czystym sumieniem przysiąc na wszystkie świętości, że nie. Oczywiście z fizyki już niewiele pamiętałem, ale byłem w stanie sobie przypomnieć, o czym na lekcjach była mowa, a o czym nie. Bohr, Young, Huygens (któremu wrednie przekręcaliśmy nazwisko), Pascal, promienie X, trzecia prędkość kosmiczna. Ale jakies kosmopilary? W życiu!

Wreszcie, w ciszy niemal grobowej, dotarliśmy na miejsce. Locksmith stwierdził, że trzeba przeszukać całe „pastwisko Matusiaka”, położony nieco wyżej zagon pszenicy (w naszej „mlecznodrogowej” rzeczywistości należący do Zenka Jaronia, którego matka była kuzynką mojej babki) i oba brzegi strumienia. Na wszelki wypadek kazał mi przygotować broń do strzału; sarny w zasadzie nie atakowały zwierząt większych od siebie, ale - jak stwierdził - „z drapieżnikami nigdy nic nie wiadomo”.

Szliśmy jak grzybiarze, szerokimi zakosami, uważnie lustrując każdy zakamarek, zaglądając za każdy krzak i kępkę trawy. Kiedy już się wydawało, że niczego nie znajdziemy, nagle obaj równocześnie przypadliśmy do ziemi. Niedaleko wywierzyska w dolince o stromych brzegach leżało parę przedmiotów, które z pewnością pochodziły z naszego świata. Ja z niedowierzaniem podniosłem z omszałego kamienia moją ulubioną książkę, o parę kroków dalej znalazłem telefon komórkowy, po nim jeszcze parę innych drobiazgów.

Spojrzałem na Locksmitha. Amerykanin z bezgranicznym zdumieniem wpatrywał się w płaski czarny przedmiot. Notebook. Zapewne mój.

- Co... co to jest? - zapytał, kiedy podszedłem do niego.

- Jak to: co? - zdziwiłem się. - Notebook.

- Znaczący... taki podręczny komputer?

- Mhm - potwierdziłem. Co jest grane? Czyżby facet nigdy nie widział notebooka? On, podwójny doktor?

Locksmitha olśniła nagle jakaś myśl.

- Niech go pan włączy - poprosił, albo raczej rozkazał z wyraźną niecierpliwością w głosie.

Włączyłem. Locksmith przez chwilę przyglądał się ekranowi, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Myślałem, że lada chwila pójdzie w ślady żony Lota i zamieni się w słup soli.

- Rok 2006! - powiedział w końcu ochryplym głosem. - Że też na to wcześniej nie wpadłem!

- I co z tego? - zdziwiłem się. - Przecież jest właśnie 2006.

- Był. Wtedy, kiedy pan zniknął ze swojego mieszkania. A teraz niech pan rzuci okiem na mój paszport.

Podał mi dokument wyciągnięty z kieszeni bluzy (po co on nosił ten paszport - do tej pory nie potrafię zrozumieć, zającom pokazywał czy może sarnom?).

Data pod zdjęciem nie pozostawiała żadnych wątpliwości: Xerxes Locksmith urodził się trzeciego kwietnia 2040 roku.

- Więc teraz...? - zacząłem, sam nie wiedząc, jak dokończyć pytanie.

- Mamy rok 2089 - wyjaśnił Locksmith, patrząc w ziemię. - A przynajmniej mieliśmy, kiedy opuszczałem Ziemię...

- W takim razie... podróże w czasie są możliwe?!

Amerykanin wzruszył ramionami.

- Dobrze by było... - burknął. - Ale nic z tego. Po prostu leciał pan z Mlecznej Drogi do galaktyki Messier 31... o ile tu można mówić o locie... przez co najmniej osiemdziesiąt trzy lata.

- Co najmniej? - zdziwiłem się.

Mój rozmówca przez chwilę milczał, wpatrując się w strumień wody tryskającej ze źródła, jakby tam

mógł wyczytać odpowiedź.

- Tak, co najmniej - odezwał się w końcu. - Bo ja, że tak powiem, wystartowałem w roku 2089. Który jest w tej chwili na Ziemi, tego oczywiście nie jestem w stanie sprawdzić. Z pobieżnych obliczeń wynika, że taka podróż może trwać... no, powiedzmy, krócej albo dłużej.

Usiadł pod krzywym grabem i zamyślił się. Przez długą chwilę kręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

Wkurzyłem się. Niekoniecznie na Locksmitha, ale na tak zwany całokształt. Bo niby do czego to podobne, żeby w naszym, podobno racjonalnie urządzonym świecie, człowiek wypadał z własnego mieszkania jak ziarno grochu ze strąką i budził się osiemdziesiąt lat później, gdzieś w innej galaktyce? A może nawet nie osiemdziesiąt, a na przykład osiemset? I żeby nic z tego nie można było zrozumieć bez doktoratu z fizyki, zdobytego też osiemdziesiąt lat później? Jakies kosmopilary i diabli wiedzą, co jeszcze...

Locksmith trochę ochłonął i zaczął mi to wszystko łopatologicznie tłumaczyć. Z jego wykładu zrozumiałem tylko, że cały Wszechświat jest zarośnięty - jak kąt mojego przedpokoju pajęczyną - gęstą siatką rurek, które fizycy kilkanaście lat przed jego zniknięciem z Nowego Jorku nazwali kosmopilarami. Te kosmopilary mają zazwyczaj formę ciasnej spirali, chociaż zdarzają się też inne, biegnące po hiperboli. Nasza Ziemia znajduje się w środku wyjątkowo skomplikowanego splotu tych rurek. Od paru lat wiadomo - a raczej wiadomo było, gdy Locksmith przebywał jeszcze tam, na Ziemi - że niektóre przedmioty, przynajmniej teoretycznie, mogą wnikać do wnętrza kosmopilary i tą drogą przenieść się na drugi koniec wszechświata, w dodatku nie respektując teorii Einsteina. Nikt jednak nie wiedział, jakaż to siła, i z jakiego źródła pochodząca, byłaby w stanie tej sztuki dokonać.

- Oczywiście w NASA chcieli te kapilary wykorzystać do podróży kosmicznych? - zapytałem.

- Teraz to już nie NASA, a NACASA - poprawił mnie Amerykanin. - To znaczy „północnoamerykańska” i „wspólna”, czyli amerykańsko-kanadyjsko-meksykańska, z niewielkim udziałem Gwatemalczyków, Salwadorczyków i tak dalej. Owszem. Były takie pomysły, ale dopiero na etapie luźnych spekulacji. Żadnych eksperymentów nie prowadzono. Zresztą gdyby nawet... to pan ich o nic oskarżać nie może. W roku 2006 nikt jeszcze o kosmopilarach nie słyszał.

- O ile nie było badań nad podróżami w czasie - mruknąłem.

- Nie było - uciął Locksmith i kontynuował swój wywód, z którego oczywiście niewiele zrozumiałem.

- Więc ta siła, która wrzuca ludzi i te tutejsze latające świerki do kosmopilar, istnieje i raz na jakiś czas działa? - zapytałem, kiedy skończył.

- Tak jest. Mnie, że tak powiem, capnęło razem z częścią sprzętu, kiedy byłem w laboratorium. Więc może uda mi się odkryć, jak to coś działa.

Jeszcze raz spojrział na ekran swojego notebooka i dodał:

- Skoro pan tu jest, to może się zdarzyć, że spotkamy jeszcze innych ludzi. I to z zupełnie innych epok, na przykład jakiegoś ateńskiego hoplitę albo budowniczego tolteckich piramid. Jak zresztą powiedziałem, już wcześniej brałem pod uwagę taką możliwość. Niewykluczone, że wkrótce będę mógł to sprawdzić. Jedno musi pan przyjąć do wiadomości: o powrocie do swoich czasów nie ma co marzyć. Jest rok 2089, a może nawet 2800.

Wracaliśmy ze spuszczoneymi głowami, niosąc tę skromną część mojego dobytku, którą kosmopilara uprowadziła z Ziemi: notebooka, komórkę, cztery książki, dwa opakowania Apapu, szachownicę, dwie alokacje w plastikowych doniczkach, trzy torebki nasion wilca purpurowego i pudełko po butach wypełnione najróżniejszymi drobiazgami. Słońce już zachodziło, rosa padała obficie, białe i rude koty obżerały się trawą, gdzieś na bagnach rechotały żaby.

Po powrocie zeszedliśmy do piwniczki, w której Locksmith urządził laboratorium. Jego wykład o naturze kosmopilar, ilustrowany schematami i wykresami migającymi kolorowo na monitorze jednego z dwóch komputerów, poszerzył moją znajomość zagadnienia w stopniu dość znikomym; przyczyną była częściowo moja wrodzona awersja do wszystkiego, co choćby nieznacznie zahaczało o fizykę, a częściowo zawartość glinianego naczynia, które gospodarz wyciągnął z szafki. Płyn w naczyniu miał barwę bladozieloną i zawierał co najmniej dwadzieścia procent alkoholu etylowego. Amerykanin częstował mnie hojnie, a i sobie też nie żałował. W rezultacie po wyjściu z piwniczki wiedziałem o kosmopilarach mniej więcej tyle samo, co przedtem. Zapamiętałem tylko, że przeszliśmy na ty. Nie z kosmopilarami, a z doktorem Xerxesem Locksmithem, rzecz jasna.

W nocy przyśniła mi się upiorna dłoń o paskudnych wielocłonowych paluchach przypominających odnóża pająka. Chwyliła mnie mocno trzema palcami i wepchnęła do szklanego lejka. Zwążająca się szklana rurka była tak przezroczysta, że przez jej ścianki doskonale widziałem najpierw Księżyc, potem Wielki Wóz, Perseusza, Kasjopeję, a w końcu nawet Krzyż Południa. Trwało to dość długo, a kiedy w końcu wypadłem z tego lejka, wylądowałem na wielgachnym porcelanowym talerzu. Nade mną pochylał się biały jak śnieg jednorożec z widelcem w lewym kopycie, a nożem w prawym. Albo może na odwrót.

@@@

Xerxes zaraz po śniadaniu zszedł do piwniczki i zakopał się po same uszy w jakichś symulacjach komputerowych. Ja zająłem się tym, do czego w takiej sytuacji mógł się nadawać historyk sztuki, i to od paru lat niepraktykujący: po kilkuminutowym „przeszkoleniu” wziąłem urządzenie zwane dyspersorem (taki subtelniejszy rodzaj młota pneumatycznego z końca XXI stulecia) i zabrałem się do kopania kolejnych kazamat. Wybrałem miejsce, gdzie w starym, dobrym „mlecznodrogowym” świecie stała topornie rzeźbiona figurka Matki Boskiej (moja kuzynka w wieku trzech lat twierdziła, że najkrótsza droga z Koziej Wólki do jej domu w Kukaniewiczach prowadzi „figurą na dół”, wskazówka ta oznaczała, że trzeba przejść obok kapliczki wąską miedzą, a potem stromo w dół przez las). Tu, o dwa i pół miliona lat świetlnych od Ziemi, były tylko akacje (wiem, wiem, robinie akacyjne...) otaczające kępę janowca w miejscu, gdzie powinien stać cokół. Uznaliśmy obaj z Xerxesem, że to będzie najlepsze miejsce na wjazd.

Zdjąłem warstwę darni i wkopałem się na głębokość mniej więcej metra. Obojętnie przyglądałem się strumieniowi rozdrobnionej gliny, opadającemu w trawę o jakieś dwadzieścia metrów dalej... i nagle usłyszałem głos. Nie, nie Głos, nie żadne słowa objawienia dobiegające z białego obłoku, po prostu głos, zwyczajny ludzki głos. Tyle że dobiegający spomiędzy kołysanych łagodnym zefirkiem gałęzi akacji (dobra, dobra, podarujmy sobie robinie). A tam nade mną przecież nikogo nie było.

Wyłączyłem dyspersor. Wsłuchałem się w słowa dobiegające z góry i już zupełnie mnie zamurowało. Głos mówił po łacinie. W języku, z którego miałem celujący na świadectwie z klasy maturalnej. Intonacja trochę utrudniała zrozumienie, bądź co bądź, w szkołach uczą łaciny z epoki, w której iloczas już nie istniał, ale słowa brzmiały znajomo.

W końcu zacząłem je rozróżniać. Tekst też rozpoznałem. Ktoś po prostu recytował IV Eklogę Wergiliusza.

Tajemniczy głos nagle umilkł i zapadła cisza. Przez chwilę stałem jak głupi z dyspersorem skierowanym gdzieś w przestrzeń, a w końcu wyłączyłem sprzęt i poszedłem do Xerxesa.

- Słuchaj, czy te twoje kosmopakapilary mogą przenosić dźwięk? - zapytałem.

Xerxes zmarszczył brwi.

- A słyszałeś coś dziwnego?

- Mhm. I to po łacinie. Któraś z tych rurek ma chyba jeden koniec w Rzymie, a drugi tam między akacjami.

Amerikanin podrapał się po głowie.

- Wiesz, teoretycznie taka możliwość była brana pod uwagę. Trzeba będzie to sprawdzić.

Popatrzył na dyspersor, jakby dopiero teraz sobie przypomniał, co robiłem pod tymi akacjami.

- Ale kop dalej, nic się nie dzieje - powiedział tonem człowieka błądzącego myślami po zupełnie innej galaktyce.

No to poszedłem kopać. Katakumby mi wyszły, że hej. Aż się z radości zdrzemnąłem na trawie pod akacją, najwyższą z czterech, włączywszy uprzednio ultradźwiękowy odpowiednik przedpotopowego elektrycznego pastucha (to na wypadek spotkania z sarenką, baranem albo innym tutejszym drapieźnikiem). W końcu miałem czas, Xerxes był zajęty czym innym i dokonanie komisijnego odbioru mogło się odbyć dopiero późnym popołudniem.

@@@

- Buuu! On mnie podrapał! Kici kici kici...

Pięcioletni chłopczyk polizał prawą dłoń, mocno pokaleczoną, a lewą jeszcze raz spróbował złapać rudego kota. Kot zwinął się w kłębek i przejechał pazurami po jego nadgarstku. Malec znów zaczął rozpaczliwie szlochać.

- Ja go chciałem tylko pogłaskać! - poskarżył się, zadzierając głowę.

Ta skarga skierowana była do muskularnego, mocno opalonego mężczyzny, ubranego jedynie w topornie skrojone gacie z jakiegoś równie topornie tkanego samodziału. Mężczyzna - być może ojciec chłopca - przyglądał się całej scenie ze zmarszczonymi brwiami, w pełnym milczeniu.

Tup-tup-tup-tup. Obok pięciolatka pojawił się drugi chłopczyk, mniej więcej czteroletni. Pewnie młodszy brat.

- Zostaw kotka - powiedział. - Owiecki i kózki som fajniejse.

- Odwal się z twoimi owieczkami! - wrzasnął starszy. - Ja chcę pogłaskać kotka!

Młodszy wzruszył ramionami i poszedł sobie.

- Czy ty zawsze musisz mieć wszystko, czego chcesz? - zapytał ojciec starszego syna.

- No a dlaczego mam nie głaskać kotka? - Pięciolatek znów przechylił głowę niemal o dziewięćdziesiąt stopni, patrząc w górę na mężczyznę.

- A musisz?

Chłopiec nie zdążył odpowiedzieć. Kątem oka zauważył coś jeszcze bardziej bulwersującego niż niechęć kotka do pieszczot.

- Ej, zostaw te kwiatki! - wrzasnął.

- A co, pseciez nie som twoje? - zdziwił się młodszy, ale posłusznie opuścił rękę wzniesioną ku dorodnej lilii.

- Ale jak zerwiesz, to zwiędną, nie rozumiesz?!

- Aha... - Mały sprawiał wrażenie nieprzekonanego. Pokręcił głowę z powątpiewaniem, a potem wzruszył ramionami i podreptał w kierunku ziemianki pokrytej darnią. Przez chwilę śledziłem jego ruchy, ale wzrok mi się dziwnie zamglił.

Jakiś dźwięk - ni to beknięcie, ni to warknięcie - przywołał mnie do rzeczywistości. Kłótnia dwóch małałów tylko mi się przyśniła. Wciąż leżałem pod akacją, chroniony „elektrycznym pastuchem” przed drapieżnymi sarnami i jeszcze groźniejszymi od nich owcami. Podniosłem głowę. No tak, o wilku, a raczej o owcy, mowa... Było prawie jak w pierwszym i ostatnim rozdziale powieści przygodowej, którą usiłowałem napisać w podstawówce: „Jeśli dobrze widzę, patrzą na mnie stada owiec, a również przyglądają mi się kozy w niesamowitych ilościach” (pokazałem to naszej polonistce i w rozmowie w cztery oczy zostałem przez nią oskarżony o usiłowanie zabójstwa; kobieta chyba trochę przesadziła, bo serce miała raczej zdrowe).

Mówiąc ściśle - było prawie tak samo. Owce były blisko, tuż za barierą pola siłowego, a kozy znacznie dalej. I wcale nie było ich aż tak dużo. Owiec bodaj piętnaście, kóz chyba ze dwadzieścia.

Sięgnąłem po pistolet. Ustawiony był na maksimum, zwierzak potraktowany wiązką promieni emitowanych przez to dziwaczne urządzenie z lufą podobną do tuby starego gramofonu padłby natychmiast rażony apopleksją.

Obejrzałem się. Xerxes stał o jakieś dwadzieścia metrów dalej i patrzył na mnie z wyraźnym rozbawieniem. Śmieszyła go ta scena, ale też się drań uzbroił w pistolet. Gieroj, cholera!

- Ty się, zając, śmiejesz! - mruknąłem.

Popatrzyłem w zadumie na pokrętło regulujące moc. Ja się zdrzemnąłem, to i zwierzaczki niech sobie pośpią - pomyślałem. Nastawiłem pistolet na usypianie i przejechałem bladoliliowym promieniem po owczych łbach. Całe stadko wygodnie ułożyło się do snu...

Uśmiechnąłem się perfidnie, podniosłem z ziemi generator pola siłowego (nazywany przeze mnie w chwilach wisielczego humoru elektrycznym pastuchem) i poszedłem do szałasów.

- *Divide et impera* - mruknąłem. - Diabła Belzebubem.

Na efekty mojego perfidnego podstępu nie musiałem długo czekać. Kozy, najpierw ostrożnie i

nieufnie, a potem coraz śmieiej, zaczęły się skradać do śpiących owiec. Już wyczuły, że niewidzialna bariera uniemożliwiająca posuwanie się naprzód zniknęła. I w końcu stało się. Tygrysi skok, ryk, jakiego nie powstydziliby się lew z zuluskiej kołysanki (ten, co to *sleeps tonight*, oczywiście *in the jungle, the mighty jungle*), zduszone jęki śpiących owiec. Chwilę później kozy wlokły już swoje ofiary w kierunku najbliższych zarośli.

- Nie wiedziałem, Andrew, że jesteś taki wredny - powiedział Xerxes z wyrzutem.

- Nie toleruję mięsożernych owiec - powiedziałem, patrząc wrogo na jodłowy zagajnik, z którego dobiegały na przemian ryki i odgłosy mlaskania. - Kóz zresztą też. Następnym razem trzeba będzie odwrócić sytuację.

- No to teraz wpadnij do laboratorium - zaproponował Amerykanin. - Coś ci pokażę.

Xerxes mógł mi pokazywać to coś od rana do wieczora albo *vice versa* czy nawet *ad mortem defecatom*, a ja bym to zrozumiał równie dobrze jak kazanie w japońskiej pagodzie. Popatrzyłem na kolorowe wykresy na trzech monitorach, a potem przeniosłem spojrzenie na gospodarza katakumb. Starłem się, by znaki zapytania w obu moich żrenicach były dobrze widoczne.

- To jest coś w rodzaju węzła kosmopakilar - wyjaśnił mi Xerxes. - W nim i wokół niego powstaje obszar zakłóceń energii... eee... jakby ci to wyjaśnić...

- Wiem, co to takiego zakłócenia. I nie tłumacz mi, na czym one polegają, bo i tak nie zrozumieję - wybawiłem go z kłopotu. - Powiedz mi tylko, co z tego wszystkiego wynika.

Słuchałem jego wyjaśnień i miałem wrażenie, że szczeka zaraz mi wyskoczy z zawiasów, oczy urosną do rozmiarów dużej pizzy, jaką serwowali przy mojej ulicy w knajpce o nazwie Giovanni, i będę wyglądał jak wyrak upiór przeglądający się w krzywym zwierciadle.

- Jeśli w węźle albo w jego sąsiedztwie znajdzie się jakaś żywa istota - tłumaczył Xerxes - każdy jej ruch i wszystkie emocje mogą wywołać trudne do przewidzenia skutki.

- Na przykład przerzucić osiemdziesiąt kilo żywej wagi z Drogi Mlecznej do Andromedy, a w zamian dostarczyć latającego świerka? Albo nagrać, też w naszej starej Galaktyce, głos Rzymianina recytującego Wergiliusza i puścić nagranie po dwóch tysiącach lat w Andromedzie?

- Może się zdarzyć - potwierdził Xerxes z całą powagą, na jaką stać podwójnego doktora z MIT. - I nie tylko to, bo to może się zdarzyć i tam, gdzie węzłów nie ma.

- A co jeszcze? - przestraszyłem się.

Xerxes wyjaśnił mi, że w tych szczególnych miejscach, które porównał do węzłów, kosmopakilary zdolne są zakłócić działania znanych nam praw fizyki w stopniu, który trudno sobie nawet wyobrazić. Na szczęście, jak twierdził, takie węzły są jak komety: wciąż zmieniają położenie i ten sam punkt przestrzeni znajduje się w ich zasięgu raz na kilkadziesiąt lat.

Nie wiadomo dlaczego przypomniał mi się pięciolatek z mojego snu. Taki był przejęty tym, że kotek nie pozwala się głaskać, nie lubił owiec, ale za to był miłośnikiem kwiatów... Przy tym wszystkim zdecydowanie nadpobudliwy.

Nie, nie, potrząsnąłem głową, to tylko sen. Bez związku z tymi cholernymi kosmopakilarami.

Resztę popołudnia zajęło nam urządzenie świeżo wykopanych „katakumb”. Na zakończenie

wydrążyłem jeszcze podziemny korytarz łączący je z piwnicą wykopaną ongiś przez Xerxesa. Kolacja opóźniła się o całe dwie godziny. A zaraz po kolacji, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, poszedłem spać.

Przyśniło mi się, że wciąż jestem w podziemiach. Błyszczący miriadami brylantów strop podpierały grube filary, kojarzące się z wnętrzem neogotyckiego kościoła w Kierzkowicach, którego wieżę widać było z okna mojego rodzinnego domu w Koziej Wólce. Środkowy filar był wyjątkowo masywny, dwa razy grubszy od pozostałych. Nagle czyjeś dłonie chwyciły ten filar i mocno potrząsnęły. W huku tysięcy ton gliny pogasły brylanty na sklepieniu, jakby ktoś zdmuchnął źródło światła odbijającego się w ich wypolerowanej powierzchni.

Sporo czasu minęło, zanim odkryłem, że to po prostu Xerxes, wstając z łóżka, wpadł na stół i przewrócił go, sam przy tym lądując na drewnianych dylach podłogi.

A zaraz potem uświadomiłem sobie jeszcze jedno. Ten Samson, który wstrząsnął filarami i sklepieniem katakumb, nie był żadnym olbrzymem, ale podrapanym przez kota pięciolatkiem z mojego poprzedniego snu.

@@@

Zaraz po śniadaniu poczułem znajomy ucisk w okolicach lewej skroni.

- Oho, zaczyna się... - mruknąłem.

- Co takiego? - Xerxes podniósł głowę znad kubka z herbatą i spojrzał na mnie pytająco spod nastroszonych brwi.

- Głowa mnie boli - wyjaśniłem. - Tak samo jak wtedy, kiedy... no wiesz.

Pomasowałem skroń i dodałem:

- Chociaż... właściwie to nie tak bardzo. Nawet dużo mniej.

Zauważyłem, że Amerykanin nie patrzy już na mnie, ale na coś, co znajdowało się za otwartymi drzwiami naszego szałas. Obejrzałem się. Na trawie, w odległości jakichś trzydziestu metrów, wylądował latający świerk. W pierwszej chwili pomyślałem, że drzewo znów znalazło sobie źródło wody tuż pod darnią i zamierza się do niego przyssać; po kilku dniach pobytu na tej dziwacznej planecie taki widok już nie był dla mnie niczym dziwnym. Jednak okazało się, że nie miałem racji. Działo się coś innego, zupełnie niezrozumiałego.

Tego dzyndzelka, który służył do wysysania wody ze źródła, w ogóle nie było widać. Dolne gałęzie, na których wspierało się drzewo, konwulsyjnie drapały ziemię, co sprawiało, że świerk z trudem utrzymywał pozycję pionową. Gałęzie wiły się jak węże złapane za koniec ogona. Wierzchołek drzewa zakreślał w powietrzu jakieś dziwaczne hiperbole i sinusoidy.

- Ciekawe, gdzie wyląduje? - mruknął Xerxes.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Zanim jednak zdążyłem zapytać, co ma na myśli, zanim zdążyłem skojarzyć tę scenę z lądowaniem innego świerka na mojej ulicy, drzewo nagle

znieruchomiało. Dwie sekundy później już go nie było, widziałem tylko strzępy poszarpanej darni.

- Pewnie będziemy mieli gościa - powiedział Xerxes. - O ile to nie potrwa tysiąc lat...

Dopiero teraz zrozumiałem, o co chodzi.

- Aha, czyli jest tak, jak myślałem? Taka wymiana między dwoma światami? Od nas drzewko, do nas tutaj człowiek?

- Właśnie.

- I to wszystko przez te kosmopilary?

- Zgadza się. Oczywiście do takiej wymiany różnych... hmmm... obiektów dochodzi nie tylko między Ziemią a tą naszą kulką. - Xerxes uderzył obcasem w podłogę. - Gdzie indziej to oczywiście wygląda inaczej.

- Jasne - mruknąłem. - Gdzie indziej nie ma ludzi...

- I w przypadku innych planet transferowi podlegają obiekty o mniejszych gabarytach - uściślił Xerxes.

Tym razem „to” potrwało jakieś dziesięć minut. Najwyżej jedenaście.

- Dobrze, że trochę znam łacinę - mruknąłem, osłaniając oczy dłonią i przyglądając się drobnej sylwetce, która nagle zmaterializowała się w samym środku poletka pszenicy. Słońce oświetlało plecy przybysza, twarz tonęła w cieniu, ale jedno nie ulegało wątpliwości: nieznajomy miał na sobie rzymską togę.

- Coś mi się nie zgadza... - Podrapałem się w głowę i spojrzałem na Xerxesa pytająco. - Mówiłeś, że podróże w czasie są niemożliwe?

- Bo są niemożliwe.

- A przecież ja widziałem drzewo, które spadło na moją ulicę. I dopiero potem stamtąd zniknąłem. A teraz...

- Chodzi ci o to, że świerk, który tu był przed chwilą, nie mógł trafić do starożytnego Rzymu? - domyślił się Amerykanin.

- Właśnie.

Xerxes wzruszył ramionami.

- Transfer kosmopilarny może mieć różne wektory. I różne prędkości.

Coś mi w końcu zaczęło świtać.

- Chcesz powiedzieć, że najpierw capnęło tego Rzymianina? A świerk dopiero wtedy, kiedy on już był bardzo blisko? I że się minęli w drodze gdzieś tu w pobliżu?

- Mniej więcej - usłyszałem w odpowiedzi. - Tak by przynajmniej wynikało z moich najnowszych ustaleń.

- A w ogóle... jak często to się dzieje?

- Częściej niż myślisz. - Xerxes, nie przerywając rozmowy, przekreślił gałąkę paralizatora. - Naprawdę dużo częściej.

- Aha... Słyszałem o tajemniczych zaginięciach, Trójkąt Bermudzki, „Mary Celeste” i inne takie... Ale o latających świerkach jeszcze nigdy. Ten u nas na Beskidzkiej był pierwszy. A wygląda na to, że tylko świerki...

- Tak, na Ziemię trafiają chyba tylko tutejsze latające rośliny - potwierdził Amerykanin, nie spuszczać oka z Rzymianina brnącego przez łąk pszenicy. - Kosmopolity wyprawiają najdziwniejsze rzeczy, ale istoty żywe, które zdarza im się uprowadzić, to z tamtej strony *Homo sapiens*, a z tej albo *Picea volans*, albo *Ornitholilium splendidum*, którego chyba jeszcze nie widziałeś.

- To dlaczego nigdy wcześniej nie słyszałem o takich przypadkach?

- Też mnie to dziwiło - roześmiał się Xerxes. - Ale teraz już wiem, skąd się to bierze. Widzisz, ostatnio musiałem podzielić kosmopolity na dwie grupy: stabilne i niestabilne. Te drugie zresztą są o wiele liczniejsze. Ty zostałeś porwany przez stabilną...

- Aha, i dlatego świerk trafił tam, skąd mnie małpa zgarnęła...

- Właśnie. A taka niestabilna majta się jak huśtawka. Złapie kogoś w Nowym Jorku, a świerk upuści w dżungli nad Amazonką. Tamte okolice są prawie bezludne... No, zajmij się naszym gościem - wskazał nadchodzącego. - Ty się z nim dogadasz, ja nie dam rady.

Przybysz okazał się - według naszych kryteriów - małodatem. Malowniczo udrapowana szata, którą miał na sobie, była świeżo założoną *toga virilis*; chłopak dopiero co świętował swoje piętnaste urodziny. Był ekwitą i - jak to zwykle z Rzymianami bywało - nosił wielce oryginalne imię Marcus. Swoją drogą, nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego potomkowie Romulusa wykazywali tak mało inwencji w tej kwestii.

Moje rozmowy z niedoszłym legionistą Septymiusza Sewera były jednym wielkim *qui pro quo*. Mniejsza już o moją łacinę - tę licealno-lektoratową, wolną od iloczasu, za Sewera wciąż jeszcze istniejącego; to była zaledwie połowa problemu. Drugą połowę stanowił język Marka Wibiusza. Chłopak najwyraźniej nie był zbyt pilnym uczniem retorów, o Horacym czy Wergiliuszu miał pojęcie dość blade i posługiwał się łaciną raczej ludową niż klasyczną. To zdecydowanie utrudniało porozumienie. Za to kolejny przybysz, który dołączył do nas w cztery dni później, nie sprawiał aż takich kłopotów. Okazał się chińskim inżynierem z Singapuru, całkiem przyzwoicie znającym angielski. Nim zajął się sam Xerxes.

@@@

Tym razem to nie był sen. Po prostu siedziałem sobie obok Xerxesa w podziemnym laboratorium, aż tu nagle usłyszałem głosy, jak - nie przymierzając - Joanna d'Arc.

Na początku były to raczej nieartykułowane dźwięki. Ktoś krzyknął. Ktoś inny stęknął. Zabrzmiało parę zduszonych, wypowiedzianych półgłosem przekleństw i kilka krótkich zdań brzęących jak

rozkazy.

W końcu usłyszałem bardzo wyraźnie: *Et tu, Brute, contra me?*

I zobaczyłem go – łysego mężczyznę w skrwawionej todze, leżącego na zalanej krwią marmurowej posadzce. Umierał. Jego lewa dłoń konwulsyjnie drapała wypolerowany kamień, a prawa zaciskała się w bezsilnym gniewie.

A potem wszystko znikło.

Miałem przed sobą niebo rozświetlone blaskiem... Księżyc? Nie, to nie był Księżyc. A w każdym razie nie nasz, bo zamiast kraterów widać było zarysy kontynentów. Nie była to też nasza staruszka Ziemia; żaden z lądów nie był ani Afryką, ani Eurazją, ani Ameryką.

Nieznana planeta zbliżała się z oszałamiającą prędkością. Zupełnie jakbyśmy znajdowali się na pokładzie statku kosmicznego zamierzającego lądować na jej powierzchni.

Nagle, jak na filmowej przebitce, planetę przesłoniła półprzezroczysta pięść. Zaciśnięta w bezsilnym gniewie pięść rzymskiego *principis senatus*.

I oto na równiku, w samym środku widzianej z góry półkuli, zobaczyłem rozbłysk płomienia. Chyba wybuchł wulkan.

Za chwilę uderzymy w powierzchnię planety. Jeszcze parę sekund... Spadniemy do krateru tego wulkanu.

Nie spadliśmy. To wszystko było wizją, złudzeniem, fatamorganą.

Oszołomiony rozejrzałem się. Wciąż znajdowałem się w podziemnym laboratorium Xerxesa Locksmitha. Amerykanin nadal siedział obok mnie.

Spojrzałem na ekran monitora. Widniały na nim jakieś tajemnicze esy-floresy.

Potrząsnąłem głową, zamknąłem oczy i znów usłyszałem głosy. Tym razem znajome.

- Zabierz stąd te kozy, ofermo! - krzyczał pierwszy. - Wszystkie lilie połamię!

- Cego chcesz, kózki nie wiem, ze powinny uważać! - odpowiedział drugi, mocno nadąsany. - No chodźcie, chodźcie, nie bójcie się, on wam nic nie zlobi...

Znów potrząsnąłem głową, ale zamiast przepędzić omamy słuchowe, dodałem do nich kolejne, działające na ośrodek wzroku. Znów zobaczyłem tamtych dwóch chłopców, pięciolatek podrapanego przez kota i jego młodszego brata, któremu starszy niedawno zabronił zrywania kwiatów.

Cztery łaciate kózki biegły w kierunku młodszego. Liliom – a raczej dwumetrowym krzewom porośniętym kwiatami do złudzenia przypominającymi swojskie smolinosy – już nic nie groziło z ich strony, ale tym razem w niebezpieczeństwie znalazły się dwa hibiskusy i maleńkie, najwyżej trzydziestocentymetrowe świerczki.

- Nie tędy! - wrzasnął starszy. - Sio!

- No co?! - zaprotestował młodszy. - Psestłasyłeś je!

- Niech idą i nie wracają! - Pięciolatek schylił się i rzucił w stadko kóz grudą ziemi. - Wszystko

niszczą te głupie, śmierdzące zwierzaki!

Młodszy brat usiadł na ziemi i rozplakał się, a starszy tymczasem nieco ochłonął. Podszedł i położył czterolatкови rękę na ramieniu.

- Nie płacz, przecież nic im nie zrobiłem...

- Zostaw mnie! - Młodszy gniewnie strząsnął jego dłoń, zerwał się z miejsca i pobiegł prosto przed siebie. Starszy patrzył w ślad za nim z miną wyrażającą zupełną bezradność, a w końcu sam się rozbeczał.

Tymczasem na rosnącym tuż za jego plecami krzaku, tuż nad ziemią, rozśpiewał się ptak nieznanego mi gatunku. Pięciolatek na początku nie zwracał na niego uwagi, ale w końcu zasluchał się w melodyjne ptasie trele i nawet przestał płakać. Nic dziwnego - skrzydlaty śpiewak, choć jeszcze mniejszy i bardziej niepozorny niż nasze słowiki, klaskał tak pięknie, że wzbudziłby zachwyt betonowej ściany bunkra w Gierłozy. Ja też zapomniałem o bożym świecie, słuchając tej melodii niedającej się porównać ze śpiewem żadnego znanego mi ptaka.

Nie trwało to długo. W wysokiej trawie pojawił się zniecka szary cień. Ptak, zasluchany w dźwięki własnego belcanta, niczego nie zauważył, zupełnie jakby był tokującym głuszcem. I oto nagle śpiew urwał się jak końcówka hejnału mariackiego. Bury kot, z pierzastym łupem w pyszczku, pomknął przed siebie, mijając osłupiałego malca, i znikł w zaroślach.

- Neeee! - wrzasnął chłopiec. Zerwał się z miejsca, jakby zamierzał pobiec za drapieżnikiem, ale natychmiast usiadł na ziemi i znów się rozplakał. Szlochał tak rozdzierająco, że naprawdę bałem się o stan jego klatki piersiowej.

I nagle wszystko znikło. Zobaczyłem ciemność roziskrzoną świetlistymi punkcikami. Tkwiły nieruchomo w mrocznej przestrzeni, a ja pomyślałem, że chyba widzę jakieś wyjątkowo puste miejsce w przestrzeni kosmicznej - tak oddalone od wszystkich możliwych ciał niebieskich, że gwiazdy wyglądają jak mikroskopijne świetlne pyłki.

Nie, jednak niezupełnie. Gdzieś na skraju pola widzenia, po lewej stronie, zobaczyłem gwiazdę. Może zresztą nie była to gwiazda, a planeta jak Wenus albo Mars? Oczywiście nie byłem w stanie tego sprawdzić. Najważniejsze było coś innego: świetlisty obiekt był jedynym ruchomym elementem obserwowanej przeze mnie strefy kosmosu. Gwiazda wyraźnie przesuwała się w lewo.

W chwilę później oderwała się od niej mniejsza, choć równie mocno świecąca drobina materii. Coś, co wyglądało jak meteor. Żłocisty punkt przeciął czerni nieba płaską parabolą i znikł.

- Wszystko widziałeś, prawda? - usłyszałem za sobą głos Xerxesa. Skinąłem głową. Byłem zbyt oszołomiony, by mówić.

- Od dawna podejrzewałem, że to jest możliwe...

- Co takiego? - zapytałem cicho, niemal szeptem.

- Kosmopilary potrafią przerzucać materię z jednego miejsca we Wszechświecie w inne. Ale to tylko połowa prawdy o nich.

- A druga? - zapytałem, widząc, że urwał i zamyślił się.

- Druga jest taka, że ludzie... niektórzy ludzie... potrafią wywierać na nie wpływ. Oczywiście to

zależy od siły emocji i od miejsca, w którym przebywają. Na przykład w takim miejscu jak to, które ci kiedyś pokazywałem. Wiesz, to, które nazwałem węzłem kosmopilar.

- Aha, już kiedyś mówiłeś. I ten chłopczyk...?

- Tak. - Xerxes poważnie skinął głową. - To prawdopodobnie on niechcący wysłał sygnał, który kosmopilara przeniosła na tamtą drugą planetę, i sprawił, że duży blok skalny oderwał się od podłoża.

Amerikanin skubnął rudawą bródkę i przez chwilę milczał, wpatrując się w jakiś wykres na monitorze. Teraz już zupełnie dobrze widziałem wewnątrz laboratorium - bez obcych krajobrazów, bez odległych gwiazd. Wszystko to znikło bez śladu.

- Nie jestem jeszcze pewny - usłyszałem - ale wydaje mi się, że to, cośmy widzieli, to jeszcze nie jest granica możliwości.

- W takim razie co jeszcze...? - Od razu sobie wyobraziłem, jak Bogu ducha winny osobnik, znalazłszy się w pobliżu tego węzła kosmopilar, nie poprzestaje na wyekspediowaniu w kosmos kawałka Merkurego lub Marsa w postaci meteorytu, ale na przykład rozwała Jowisza, zamieniając go w chmurę asteroid.

Swoją drogą to było niesamowite. Wszechświat przerośnięty, niby darń korzonkami trawy, tymi kosmopilarami, o które w każdej chwili można się potknąć. I to potknąć nie fizycznie, ale - że tak powiem - emocjonalnie. Zupełnie jakby taki węzeł kosmopilar był rottweilerem, który gryzie kogo popadnie, i demoluje cały dom, bo ktoś mu nadepnął na ogon. I każde takie „nastąpienie na ogon” może narobić bałaganu na skalę kosmiczną. Uprowadzić człowieka z Ziemi do Galaktyki Andromedy, na przykład. Albo uszkodzić planetę. A może... Może stworzyć inną, zupełnie nową?

Xerxes z całą powagą potwierdził, że coś takiego - przynajmniej teoretycznie - byłoby możliwe.

- W czasach, w których żył ten mały, węzeł musiał się znajdować bardzo blisko miejsca, w którym mieszkała jego rodzina - uzupełnił. - A potem... Potem odpłynął w przestrzeń. Jak kometa Halleya.

Nadeszła pora, by ubrać w słowa podejrzenia, jakie od pewnej chwili kiełkowały mi pod czaszką.

- A czy mogłoby się zdarzyć... na przykład... skopiowanie już istniejącej planety? Niekoniecznie dokładnie, ale trochę na opak, z mięsożernymi kopytnymi i łagodnymi kotkami żywiącymi się trawą? Z roślinami, które mogą się poruszać, więc byle koza nie ogryzie im gałązek, bo po prostu odleca? I nie w stanie z chwili, w której równowaga została naruszona, ale w stanie o całe wieki późniejszym?

Amerikanin spojrzał na mnie zaskoczony.

- Wiesz, o tym nie pomyślałem. Ale kto wie?

Spojrzałem w górę, ku powierzchni planety, pełnej pustych miejsc otoczonych prostokątami owocowych drzew w miejscach, gdzie na prawdziwej Ziemi stały domy, stodoły i obory. I poczułem, że mogę mieć rację.

@@@

Na kosmopakilary, a tym bardziej na ich węzły, nie mieliśmy żadnego wpływu. Jeśli kogoś, tak jak mnie czy Xerxesa, capnęło niby jastrząb wróbla i przeniosło do innej galaktyki – mówi się trudno. Jeśli ktoś nieopatrznie znalazł się w zasięgu węzła, i tupiąc nogą powodował katastrofę na drugim końcu wszechświata, też nic na to nie mogliśmy poradzić. Potrafiliśmy za to urządzić się w miarę komfortowo na tutejszej Pseudoziemi. A skoro mogliśmy to zrobić, staraliśmy się z tej możliwości skorzystać.

Dwa dni po tym, jak zobaczyliśmy zamach na Juliusza Cezara, Locksmith usiadł przy komputerze zaraz z rana i skończył robotę dopiero około północy. Przez ten czas ja byłem kucharzem, kelnerem i... nie, nocnika nie musiałem przynosić, Amerykanin mimo wszystko parę razy oderwał się od sprzętu. Jednak wyłączył aparaturę dopiero dziesięć po dwunastej.

- Mam wszystko - ogłosił krótko.

To „wszystko” oznaczało po prostu wszystkie miejsca, w których na naszej Pseudoziemi wylądowali ludzie. Okazało się, że jest ich niecałe dwie setki, a pojawili się tutaj w ciągu minionych jedenastu miesięcy. Xerxes twierdził, że „najstarszy” (historycznie, nie biologicznie) z nich pamiętał czasy słynnego Gudei z Lagasz, a „najmłodszy” (nie licząc jego samego) uprowadzony został około roku 2050. Niezły rozrzut.

Postanowiliśmy zebrać ich wszystkich razem. Locksmith przystąpił do budowy czegoś w rodzaju śmigłowca; nazywał ten pojazd grawipterem. Pomagaliśmy mu ze wszystkich sił, więc praca szybko posuwała się naprzód. Muszę przyznać, że Marek Wibiusz szybko nauczył się obsługi XXI-wiecznego sprzętu i radził sobie z nim nawet lepiej niż ja. Wiadomo, co żołnierz (albo przynajmniej kandydat na żołnierza), to nie pierwszy lepszy znawca architrawów i kapiteli korynckich.

Pozbieraliśmy tych rozbitków w ciągu miesiąca, w większości obdartych, wygłodzonych i chorych. Propozycja przeprowadzki była dla nich wybawieniem; dopiero u nas, w Koziej Wólce, mogli powrócić do cywilizacji, schronić się przed zimmem i deszczem, najeść do syta... Większość z nich bardzo bała się grawiptera, ale obietnica napełnienia żołądka, wyrażona przy pomocy bardzo wymownych gestów, zrobiła swoje.

A potem było jak w starej piosence: *Budujemy nowy dom, jeszcze jeden nowy dom, naszym przyszłym, lepszym dniom...* Wzniesiliśmy całe osiedle po zachodniej stronie Brzezia. Przy okazji - ex aequo z niejakim Michele Labrosse'em z Paryża - awansowałem na naczelnego architekta. Bądź co bądź miałem trochę doświadczenia w posługiwaniu się sprzętem Xerxesa. On sam tymczasem ślęczał całymi godzinami w laboratorium, nie imając się żadnych przyziemnych zajęć. Kosmopakilary całkowicie go pochłonęły.

@@@

Któregoś dnia pod koniec lata siedziałem pod moimi ulubionymi akacjami i zastanawiałem się, jak to możliwe, że nasze urocze kosmopakilary - zarówno te przecinające przestrzeń po hiperboli, jak i te spiralne - od dwóch miesięcy nie dają znać o swoim istnieniu. Zdarzało mi się nawet podejrzewać, że przestały istnieć, wyzionęły ducha, zwiędły, rozleciały się czy co tam jeszcze może się takim kosmopakilantom przytrafić. Xerxes jednak twierdził, że tak nie jest, one wciąż były tam gdzie przedtem i miały się całkiem dobrze.

- Poczekaj trochę, jeszcze je zobaczysz w akcji - zapewnił mnie poprzedniego dnia z kwaśnym

uśmiechem. – Kto wie? Może już jutro jakiś latający świerk ucieknie ci sprzed nosa? Może zobaczysz na żywo Kennedy’ego pod Murem Berlińskim albo podsłuchasz Antoniusza szepczącego czule słówka do ucha Kleopatry? Albo cała załoga „Mary Celeste” wyląduje w pszenicy za lasem?

- O ile oni nie trafili na zupełnie inną planetę – mruknąłem. – Albo w ogóle do innej galaktyki...

- Jestem blisko odkrycia sposobu pozwalającego to sprawdzić – oświadczył podwójny doktor. – Na razie dowiedziałem się, że jedna z kosmopilar zgarnęła François Villona...

- Rany boskie! – Aż złapałem się za głowę. – Toż jego trzeba by od razu, na dzień dobry, ubezpieśnić i zamknąć w celi, żeby kogoś nie zaszlachtował! Dobrze pisał, ale to jednak kryminalista.

- Sprawa rozwiązała się sama – uspokoił mnie Xerxes. – Pożarły go kozy.

Odetchnąłem. A więc nie trzeba będzie stosować aresztu prewencyjnego. W końcu byłoby trochę głupio, bo Villon wielkim poetą był i przewiercał duszę na wskroś, co chyba przyznałby nawet uczeń Gałkiewicz.

I tak sobie dumałem o tym wszystkim, siedząc pod akacjami i leniwie śledząc wzrokiem stadko wron nad świeżo zabronowanym polem – aż tu nagle okazało się, że w końcu wywołałem wilka z lasu.

Najpierw myślałem, że to mały Enmerkar z Lagasz idzie na grzyby ze swoimi przyszywanymi rodzicami – Egipcjaninem Mencheperre (dworzaninem Nefretete) i Brazylijką Catariną (tancerką ze szkoły samby, która święciła triumfy podczas karnawału w Rio de Janeiro w roku 2020) – i jak zwykle radośnie gaworzy po sumeryjsku.

Myliłem się. Słyszałem nie jeden dziecięcy głos, lecz dwa. Obydwa dobrze mi znane.

Bracia najwyraźniej znów się o coś kłócili.

Wydało mi się, że grabowo-jodłowy las między Kozią Wólką a Kukaniewiczami widać jakby mniej wyraźnie. Przetarłem oczy. Efekt okazał się odwrotny do zamierzonego. Las przesłoniła mgła. Z tej mgły po chwili wyłoniło się skalne urwisko. Nad nim unosił się dym, kłócących się chłopców nigdzie nie było widać. Słów wykrzyczanych dziecięcymi głosami tym razem nie potrafiłem zrozumieć.

Gdyby tak zobaczyć całą scenę z drugiej strony...

Mówisz i masz. Jak w znanej reklamie. Życzenie się spełniło. Ujrzałem ich, stojących tam na górze, w rozmięklej po deszczu czerwonej glinie, niebezpiecznie blisko krawędzi. Obok płonęły dwa ogniska. Z jednego unosił się niemal pionowo w górę słup dymu. Dym z tego drugiego słał się po ziemi. A chłopcy zawzięcie się kłócili.

Skąd ja to znam? Podrapałem się po głowie, wysiliłem szare komórki – bezskutecznie.

Tymczasem czterolatek zbliżył się do starszego brata na odległość zaledwie kilkunastu centymetrów, coś mu tłumacząc, teraz już dość spokojnie, bez gniewu. Niestety miał pecha. Przy czwartym albo piątym zdaniu nadepnął starszemu na stopę. Pięciolatek odepchnął go gwałtownie.

I stało się – młodszy stracił równowagę. Znikł mi z oczu. Nawet nie krzyknął.

Urwisko miało co najmniej trzydzieści metrów wysokości.

- Neeee!!! – krzyknął starszy brat. Lękliwie podszedł do krawędzi, ostrożnie spojrzął w dół, a potem

wycofał się, opadł na kolana i zaczął rozziewając szlochać.

Byłem wstrząśnięty. Jakaś kłótnia nie wiadomo o co... i taki finał.

Wszystko znikło, na nowo utonęło w mlecznych oparach mgły. Chyba już nic więcej nie zobaczę. Jeszcze tylko usłyszałem głos pięciolatka. Chłopiec wciąż rozpaczliwie szlochał.

- Nie ma go! Chyba wpadł do jakiejś dziury! No gdzie on jest?! Gdzie?!

A po chwili:

- Nie będę go szukał! Mógł uważać! Nie jestem jego niańką!

Kiedy tuman mgły powoli się rozwiewał, odsłaniając kukaniewicki las, nagle sobie przypomniałem. Teraz już wiedziałem, jaka to scena - po latach, po wiekach - rozegrała się przed moimi oczami.

@@@

Xerxes Locksmith, jak się okazało, też wszystko widział i słyszał. A potem siedział, milczał i kiwał głową. Co to kiwanie miało oznaczać, tego na razie się nie domyślałem. Może znów stało się coś, czego nasz podwójny doktor od dawna się domyślał?

- A więc teraz już wiemy, że to nie są ludzie z czasów niezbyt odległych, prawda? - odezwał się w końcu. - To znaczy tak bliskich, że można zrozumieć, co mówią.

- Od początku się nad tym zastanawiałem, bo oni jakoś dziwnie wyglądali - przyznałem. - Wszyscy byli ubrani jak... jak ludzie z czasów, kiedy się przędło i tkano we własnej chałupie. W najlepszym razie XIX wiek.

- I mówili po polsku, prawda? - W oku Xerxesa zalśnił nagle dziwny błysk.

- Mhm.

- A ja twierdzę, że po angielsku.

Spojrzałem na niego jak na wariata.

- No przecież słyszałem!

- A ja, nie znając polskiego, zrozumiałem każde słowo z tej kłótni.

Aż zerwałem się z miejsca.

- Czyli?

- Czyli słowa trafiały bezpośrednio do naszych mózgów - dokończył Amerykanin. - W przeciwnym razie nie rozumielibyśmy ani słowa. W tamtych czasach nie istniał ani polski, ani angielski.

Usiadłem i westchnąłem. Czego jeszcze się dowiem o tych cholernych kosmopikarach?!

Chwilę później ból głowy sprawił, że straciłem ochotę na kontynuowanie dyskusji. Sięgnąłem po

tabletki leżące w szufladzie, wyłuskałem jedną z nich, popiłem wodą i wyszedłem na świeże powietrze. Upewniłem się jeszcze, czy mam za pasem paralizator, po czym ruszyłem na przełaj przez pole w kierunku nowo zbudowanej stolicy tutejszego świata. Miałem nadzieję, że spacer na świeżym powietrzu dobrze mi zrobi, chociaż nie miałem wątpliwości co do prawdziwych przyczyn bólu głowy. Wszystko wskazywało na to, że będziemy mieć gościa.

Mówi się trudno. Może nie będzie to Attyla albo inny Hitler. Kiedy już wyląduję, powitamy przybysza chlebem i solą.

Ominąłem kępę dzikiej pszenicy rozdeptanej przez kozy i do imentu rozdziobanej przez ptaki, spłoszyłem dwa koty skubiące trawę i nagle usłyszałem szelest. Stałem jak wryty. Czyżby jakaś owca zamierzała na mnie zapolować?

Dźwięk dobiegał zza pobliskiego krzaka głogu. Sięgnąłem po paralizator i natychmiast wsadziłem go z powrotem za pasek. Tam za tym głogiem ktoś płakał. Chyba dziecko.

Obszedłem krzak i stanąłem twarzą w twarz z moim dobrym znajomym; to był ten czterolatek, który spadł z urwiska, niefortunnie popchnięty przez starszego brata. Teraz dzieciak, cały wypačkany czerwoną gliną, trzymał się za lewą rękę i cicho popłakiwał.

- *Lujumala!* - poskarżył się patrząc na mnie. - *Lujumala takoru!*

Obejrzałem przedramię, które tak bardzo „lujumala”, po czym wziąłem małego na ręce i zawróciłem. Wiedziałem, że któryś z naszych trzech lekarzy bez trudu sobie poradzi z banalnym złamaniem. Zwłaszcza Miguel Matamoros, chirurg ze szpitala w Cuzco, który ongiś operował ofiary andyjskich trzęsień ziemi.

Pół godziny później maluch, wciąż jeszcze umorusany jak nieboskie stworzenie, siedział na krzywym stołku z ręką na temblaku, pałaszował ciasto upieczone przez Hildę Kramer i uśmiechał się. A mnie znów dopadł ten cholerny ból głowy.

Wyszedłem przed zaimprovizowane ambulatorium, w którym Matamoros i dwaj pozostali lekarze udzielali pierwszej pomocy potrzebującym. Zacząłem się rozglądać, szukając przyczyny kolejnego ataku; wiedziałem już, skąd się brały moje migreny. Oczywiście nie próbowałem zgadywać, kim będzie kolejny przybysz z innej epoki. Tego przecież nikt nie potrafił przewidzieć.

W Brzeziu nagle zatrzeszczały krzaki. W chwilę później zza kępy ostreżyn wyłonił się...

Przetarłem oczy. Halucynacje jakieś czy co? Miałem przed sobą pięcioletniego miłośnika kwiatów, pałającego nieodwzajemnioną miłością do kotów, które nie pozwalały się głaskać. Tylko włoski, w rzeczywistości dość ciemne, miał teraz czerwone od gliny nad skalistym urwiskiem. Ale to był on, na pewno on.

Spojrzał na mnie zaleknionym wzrokiem, przez chwilę jakby się wahał, czy nie uciec, a potem nagle puścił się pędem w moją stronę. Omal na mnie nie wpadł, lekko trącił łokciem moje kolano. Biegł w kierunku ambulatorium.

Obejrzałem się. Przed budynkiem stał jego młodszy brat. Nadal wypačkany czerwoną gliną.

- *Abalu!* - krzyknął starszy, śmiejąc się i płacząc równocześnie. - *Abalu! Duga baszi jompu mulewe?!*

Pierwsze słowo na pewno było imieniem, znanym mi w nieco innej wersji. Reszty nie zrozumiałem. Nie chciało mi się zresztą zastanawiać nad znaczeniem tych radosnych okrzyków, przede wszystkim

bałem się, że złamana ręka młodszego może uciepieć i Matamoros będzie musiał zaczynać od nowa.

@@@

Xerxes Locksmith patrzył na ekran i kręcił głową z niedowierzaniem.

- Co się stało? - zapytałem.

- Nie uwierzysz. Zniknęła.

- Co zniknęło? Jakaś kosmopilara?

- Mhm - potwierdził Amerykanin. - Ta najsilniejsza, najaktywniejsza ze spiralnych.